

Rozmowa Arcanów

„Apodyktyczna, wymagająca, kapryśna...”

– z Jolantą Zabarnik-Nowakowską
rozmawiają Maciej Urbanowski
i Wojciech Chmielewski

Jak to się stało, że poznałaś Marka Nowakowskiego?

Razem studiowaliśmy prawo na Uniwersytecie Warszawskim, aczkolwiek początkowo nie na jednym roku, bo Marek jeden rok wyżej zmarnował i w końcu znalazł się na moim. Pamiętam, jak w sali o układzie amfiteatralnym siedział poziom niżej ode mnie i bardzo spodobała mi się jego szyja. Marek miał bardzo ładnie osadzoną głowę i, trochę żartując, podrapałam go po tej szyi... Potem poczęstowałam go pomarańczą, którą akurat wtedy miałam. Wtedy już wiedziałam, że pisze. Przeczytałam jego opowiadanie *Ożenili* wydrukowane chyba w „Życiu Literackim”, bardzo uderzyła mnie jego oryginalność, zupełna odmienność od tego wszystkiego, co się wtedy czytało, nawet można powiedzieć, że był to szok na tle tego, co wtedy czytałam, a czytałam sporo, więc miałam ogólną orientację. Ale nie znałam jeszcze Céline’a ani Geneta, jeszcze nawet nie był tłumaczony, a dla mnie wtedy *Wspólny pokój* Uniłowskiego to była odważna proza.

W autobiografii literackiej „Pióro” Marek Nowakowski pisze: „Wsparciem na tym rozdrożu była ta Czarnowłosa. Zapalałiśmy do siebie afektem. Traktowała moje próby pisarskie z uznaniem i została najbardziej zaufaną powierniczką tej pasji. Czytałem jej świeżo napisane teksty i wsluchiwałem się pilnie w jej opinię. Byłem głuchy na racjonalne argumenty i ledwie starczyło mi cierpliwości na wspólne przygotowanie się z nią do ostatniej sesji egzaminacyjnej”.

Jakże miło! Faktem jest, że Marek dzielił się ze mną swoim pisaniem...

„Miała słuch i nigdy nie chwaliła bez szczerzego przekonania. Wspierała mnie, choć nie uważała za słuszny postępującego rozbratu ze studiami”. Potem w tej autobiografii Marek wspomina, że przepisywałaś jego teksty...



„Wsparciem na tym rozdrożu była ta Czarnowłosa. Zapalaliśmy do siebie afektem.” – pisał Marek Nowakowski

którą zaczęto wydawać po 1956 roku, czytałam Dos Passosa, Faulknera, Hemingwaya, Caldwell.

„Ojciec przedwojenny mecenas, erudyta, zakochany w literaturze francuskiej pisywał przyczynki do biografii Verlaine’a i jego związkach z Rimbaudem” – pisał Nowakowski.

To prawda, mój ojciec, Michał Zabarnik, wydrukował kilka esejów w jednym z prawniczych periodyków, które ukazywały się w tamtych czasach. Nie był chyba szczególnie niekonwencjonalny na tle swego pokolenia adwokatów. Po prostu kochał literaturę, na przykład czytał i tłumaczył Markowi na jego prośbę Geneta *Matkę Boską w kwiatach*. Wydrukował też esej o Dostojewskim, pisał też o procesie Verlaine’a. Bardzo lubił *Wojnę i pokój*, którą czytał do końca. Między ścianą a tapczanem miał swój egzemplarz, po który często sięgał, także w przeddzień śmierci.

Czy Twoje studia prawnicze to był wybór drogi uświęconej rodzinną tradycją?

Bardzo wcześnie robiłam maturę, nie miałam jeszcze 17 lat i starałam się dostać na medycynę, dlatego że od dziecka miałam zainteresowania w tym kierunku. Z uwagi na moje złe pochodzenie społeczne nie dostałam się, bo to były ciężkie lata, ekstrakt stalinizmu, tak więc trochę mnie odciepli... Miałam rok przerwy i oczywiście mój tatuś od razu popędził mnie do różnych prac, żebym nie siedziała w domu i żeby fiołki mi się w głowie nie legły. A potem uznaliśmy, że chyba nie ma już co się oszukiwać, że na prawo na pewno się dostanę. I tak się stało.

Wiele lat na początku przepisywałam mu opowiadania, bo dobrze pisałam na maszynie. Robiłam to bardzo chętnie, a jednocześnie je czytałam. Rzeczywiście czytał mi, a ja, jeśli miałam uwagi, to mówiłam je wprost, nigdy go nie oszczędzałam. Myślę, że w jakimś stopniu je uwzględniał.

Jaki był wtedy krąg twoich lektur?

Raczej tradycyjny, z dużym wpływem mojego ojca, który był bardzo odczytany zwłaszcza w literaturze francuskiej, którą czytywał w oryginale. Bliska mu była też poezja i proza rosyjska. A potem rzuciłam się na literaturę amerykańską,

„Przez rodziców Czarnowłosej też nie byłem dobrze widziany jako odpowiedzialny towarzysz życia ich córki” – to również wyznanie z autobiografii pisarza. Czy tak było naprawdę?

Ojciec był nawet Markiem zafascynowany, ale uważał, że nie jest dobrym kandydatem na męża jako człowiek niestabilny, o różnych porywach. Często przywoływał Verlaine’a i jego stosunek do żony, a jak wiadomo tam nie było za dobrze... Miał złe przewidywania, ale – choć czynił różne żartobliwe uwagi – nie miało to istotnego znaczenia. Żartował: „wolałbym, żeby chodził do córki sąsiadów”.



Michał Zabarnik (1900–1988)

W całej autobiografii literackiej o Czarnowłosej są liczne wzmianki, ale nie jest nawet wymienione Twoje imię, co wskazuje na dystans pisarza i niechęć do opisywania spraw najbardziej intymnych. Natomiast w tomie „Silna gorączka” z 1963 roku jesteś z kolei sportretowana jako Ela...

Marek był wtedy jeszcze bardzo młody i nie miał do tych spraw dystansu, ale *Pióro* to przecież jedna z ostatnich jego książek... Potem już był tylko *Dziennik podróży w przeszłość*, choć on był pisany wcześniej, to zestaw pewnych odrębnych części, które były wcześniej drukowane, między innymi w „Arcanach”, na przykład *Mues...*

Wróćmy jeszcze na chwilę do Czarnowłosej i waszych studenckich lat. Poznajesz Marka i, mówiąc jego słowami, „zapalaliśmy do siebie afektem”...

Bardzo szybko zostaliśmy parą. To był pięćdziesiąty ósmy, dziewiąty rok... Często mówi się, że Marek nie ukończył studiów, ale to nieprawda! Otrzymał absolutorium, ale nie zdał egzaminu magisterskiego, absolutnie nie chciał. Muszę przyznać, że bardzo się postarałam, żeby studia ukończył, bo ja byłam już po egzaminach i miałam spokój, a on jeszcze nie. I przygotowywałam go do nich. Pamiętam, jak siedzieliśmy w mieszkaniu rodziców Marka we Włochach, w sypialni, bo tam przy piecu było ciepło. Przerabialiśmy procedurę cywilną i prawo cywilne. Marek robił to dla ojca, Antoniego Nowakowskiego, który miał różnego rodzaju wymagania i to zdecydowanie formułowane. Studia miały go wyrwać z kręgu jego dziwnych zainteresowań, a Marek chciał to po prostu zrobić dla rodziców, żeby było wiadomo, że coś jednak ukończył. Był czas, że ojciec Marka

chodził nawet do dziekanatu i dopytywał się o jego sytuację. A miłość dzieci do ojca w tym domu była bardzo ważna, zarówno siostra Ewa, jak i Marek traktowali ojca z niezwykłym ciepłem i z pewną taką wyrozumiałością, z półśmiechem na jakieś zachowania, które może u kogoś innego mogłyby razić, ale w przypadku ojca przymykali oczy. Był akceptowany bezwarunkowo.

Czy rodzice Marka zaakceptowali cię od razu, czy miałaś takie poczucie, że był jakiś dystans? Jak w ogóle zapamiętałaś rodziców Marka Nowakowskiego?

Bardzo dobrze. Mama była mi zawsze bardzo życzliwa, ojciec też do pewnego czasu. Potem miał pretensje, że nie mamy dzieci. Czasami śmiesznie obciążał mi spódnicę, bo uważał, że mam za krótką...

Siostra Marka, Ewa, była starsza o kilka lat...

Miałam z nią dobre kontakty. Ona też była prawniczką, pracowała w zawodzie i na początku traktowała nas jak smarkaczy. We wczesnej młodości sama próbowała pisać, miała takie ambicje, a potem uważała, że Marek przejął od niej część jej osobowości. Żartowali na ten temat, robili sobie przytyki. Bardzo lubiłam Ewę, była inteligentna, no i była oddaną czytelniczką prozy swego brata, a on liczył się z jej zdaniem. Byli bardzo ze sobą życzliwi. Bardzo! O tym świadczy choćby i jej śmierć, trzy tygodnie po śmierci Marka. Chodziła wtedy jak nieprzytomna, nie mogła pogodzić się z tym, że młodszy brat zmarł przed nią. To było dla niej straszne i dla mnie też. Trzy tygodnie później zmarła.

Pozostańmy jednak jeszcze na chwilę w latach 50. i 60. Spotykaliście się i spacerowaliście po Warszawie. Czy mieliście swoje ulubione miejsca?

Najczęściej czas spędzało się w kawiarniach. Dopóki nie mieliśmy własnego kąta, człowiek się szwendał... Nasza ulubiona nazywała się „Pod Kurantem”, na rogu Wilczej i Marszałkowskiej, wejście od Wilczej. Była piętrowa, na pierwszym piętrze stał fortepian, na którym grywał Lech Terpiłowski, znany wtedy taper. Na rogu Marszałkowskiej i Pięknej była „Stylowa”, wszystko jednak zależało od tego, gdzie się aktualnie szło... Herbata była wszędzie, na ogół dobra, oczywiście zaparzana, torebkowa, ale pamiętam, kiedy w Alejach Jerozolimskich powstała herbaciarnia, nazywała się „Gong”, luksus na tamte czasy, było parę gatunków herbat, podawano je bardzo ładnie w czajniczkach, to było bardzo eleganckie miejsce. Warszawa była zresztą wtedy dość szarym, mało urozmaiconym miejscem, to było miasto z kafejkami-dziuplami. Jakoś dziwnie utkwiała mi jeszcze w pamięci kawiarenka na Kredytowej, gdzie mieściło się Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Nie mogę nie wspomnieć też, że od czasu do czasu wstępowałyśmy do barków. Wszystko zależało od tego, jaki był nastrój, pogoda, kogo się spotkało. Liczyła się chwila.

Miałaś swój ulubiony warszawski barek?

Zdawałam się na Marka. „Kuchcik” był blisko nas, miłe miejsce niewymagające długiego przebywania, bo był maleńki. Piło się małymi kieliszkami, na stojąco, pamiętam, że w tamtym czasie były trzy rodzaje białej wódki: z czerwoną, białą i niebieską kartką. Czasem wpadaliśmy do „Bristolu”, który wtedy nie był, jak się to powszechnie uważa, jakąś super drogą restauracją. Jako studenci mogliśmy pozwolić sobie od czasu do czasu na befszytk z polędwicy, który bardzo lubiłam. Oczywiście często chodziliśmy tam do kawiarni, bo była na trasie do siedziby Związku Literatów, nie do tej głównej, która jest do dziś, wzdłuż ulicy Karowej, ale od wejścia na lewo była kawiarnia z malutkim pięterkiem, gdzie też stało kilka stolików. Swoje przygody w nocnym „Bristolu” przy barze Marek wielokrotnie opisywał, a ja pamiętam dni, kiedy chodziliśmy do restauracji dziennej z panem Wacławem Solskim, pisarzem, który zatrzymywał się na ogół w „Bristolu”, kiedy przyjeżdżał do Polski z Nowego Jorku i zapraszał nas na obiad. Na deser bardzo lubił ryż na słodko, z cynamonem i ze śmietanką. Przepadał za tym. Kiedy byliśmy w Nowym Jorku, odwiedziliśmy go i dostałam wtedy od jego żony bardzo ładny portfelik z krokodylej skórki. Nosiłam go długie lata. Marek niezwykle cenił piarstwo Solskiego, zwłaszcza opowiadania, choćby te z tomów *Czarna spowiedź* czy *Żółta trójka*.

A „Kameralna”?

„Kameralna” była poza konkurencją. Pamiętam wspaniałą kuchnię polską. Na przykład sztuka mięsa z kwiatkiem, szponder, myślę o tym z pewnym rozrzewnieniem, bo była to tradycja kulinarna, która kompletnie zniknęła. Pamiętam też grzanecki z tukiem, czyli ze szpikiem z kości wołowej. Oczywiście życie biesiadne to nie była moja codzienność, od najwcześniejszych lat przecież pracowałam. A zdarzało się, że na sprawie w sądzie siedziało się do 12 w nocy, potem dopiero to zmieniono.

Ale jeszcze na studiach centrum Twojego świata była ulica Lwowska, prawda?

Lwowska i okolice. Tu mieszkałam z rodzicami, było mnóstwo miejsc, które znałam. Marek pokazał mi bar „Bazar” na Koszykowej, tak malutki, że można było tylko przy barze wypić jakąś wódkę, pod skromną zakąskę, na przykład latem pod kawałek surowego zielonego ogórka. Bywało się od przypadku do przypadku. Na początku Poznańskiej była skromna restauracja „Niedźwiadek”. Korzystali z niej wszyscy okoliczni rzemieślnicy, a wzdłuż tej ulicy zakładów było wiele. Ale, kiedy tylko nastąpiła transformacja, „Niedźwiadek” pierwszy zmienił się w restaurację wietnamską. Zaczął się inny świat: w pierwszej salce został zainstalowany barek, były salki restauracyjne, lokal cieszył się powodzeniem. Bywałam tam z Markiem. Potrawy wietnamskie były wtedy nowością, potem za rogiem Wilczej i Poznańskiej powstała pierwsza w Warszawie restauracja meksykańska...

Lubisz gotować?

Owszem. W domu rodziców była gosposia, która bardzo dobrze gotowała, lubiłam z nią rozmawiać, bo była miłą kobietą, bardzo zabawną, dowcipną, opowiadała różne historyjki. Przesiadywałam z nią i obserwowałam, jak robi różne rzeczy, ale dużo też nauczyłam się od matki Marka. Wspaniale gotowała i piekła, co nieco podpatrzyłam i przydało mi się potem.

Marek napisał: „W 1961 roku osiedliłem się z Czarnowłosą w potężnej fortecznej kamienicy na rogu Ordynackiej i Okólnika...”

Zgadza się! Pierwsze nasze lokum to Okólnik 11a, kamienica wciąż stoi. Przez cały czas mieszkaliśmy w Śródmieściu i to jest właściwie Marka dzielnica, bo, owszem, miał zainteresowania dla ludzi, którzy mieszkali na Pradze czy na Powiślu, ale w istocie mieszkał wyłącznie w Śródmieściu. Na Okólniku mieszkaliśmy w wynajmowanym pokoju przynajmniej ze sześć lat, w 1966 roku dostaliśmy mieszkanie na Długiej i tam mieszkaliśmy do 1988 roku. A potem tutaj, gdzie rozmawiamy, na Śniadeckich. Szmata czasu...

Czy podczas studiów obracaliście się w uniwersyteckim towarzystwie, czy może od razu w kręgu literatów ze „Współczesności” i innych?

Jeżeli chodzi o studia, to Marek miał więcej kontaktów z rokiem wyżej, nie z tym, na którym ja studiowałam. Naszą wspólną znajomą była moja koleżanka Joanna Biernacka, która niestety zmarła w 1980 roku. Marek miał ciotkę w Sopocie, ciotkę Anielcię, siostrę matki, bardzo serdeczną osobę. Była sędzią, czasem do niej jeździł, żeby trochę wytchnąć. Joanna miała tam praktyki.

Zaczynaliście studia w apogeum stalinizmu, a kończyliście po październiku 1956...

W końcu lat 50. Na uniwersytecie widoczny był Przemek Górny, zmarły w styczniu tego roku, studiował z nami. Wtedy reprezentował ruch narodowy, co dla wielu było szokiem. Polemizował z bardzo wtedy czynnym Jackiem Kuroniem, który potem z sympatią pisał o nim w swojej autobiografii. Przemek potrafił za sobą porwać, rzeczywiście miał coś w sobie z trybuna ludowego. We wspomnieniu napisali o nim słusznie „chłopak o płomiennym spojrzeniu”. Znałam go, a po latach, w 2006 roku, Marek i on zostali razem odznaczeni Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego i to było najcudowniejsze, że Przemek chodził z tą szarfą, przesiedział w niej cały bankiet, był wtedy naprawdę bardzo szczęśliwy. Marek kilkakrotnie zresztą pisał o Przemku Górnym.

W książce „Kryptonim »Nowy«. Tajemnice mojej esbeckiej teczki” są też oczywiście wzmianki o Tobie w dokumentach bezpieki: „apodyktyczna, wymagająca, kapryśna”, tak o Tobie napisano, poza tym „wrogo nastawiona do PRL”.

Czy ten późniejszy negatywny stosunek do ustroju był już u Ciebie widoczny w 1956 roku, podczas studiów?

Kończyłam liceum TPD im. Jarosława Dąbrowskiego na Kopernika. Nie należałam do ZMP, więc już w szkole byłam „elementem społecznym”, chociaż dobrze się uczyłam. Może to w jakimś stopniu przyczyniło się do mojego nieudanego startu na medycynę, zresztą dobrze się stało, że się w końcu nie dostałam, bo nie znoszę widoku krwi, więc wcale nie żałuję. Na uniwersytecie było tak samo, nigdzie się nie zapisałam, może to właśnie był akt kapryśnienia. (śmiej)

To trochę inaczej niż u Marka, który jako 16-latek w buncie przeciw rodzicom zapisał się do ZMP, co zresztą opisał w „Dzienniku podróży w przeszłość”...

To na pewno był bunt, ale jeszcze coś ponadto, to się wzięło z powodów, które opisał. Ciekawe było to, że Marek miał też duże skłonności pedagogiczne. Będąc kilkunastoletnim chłopakiem chodził i nauczał młodszych od siebie. To może śmiesznie brzmi, ale przecież ci chłopcy z Bud, z Felkiem na czele, czy rodzina Strzeleckich, on tych chłopców po koleżeńsku, po kumpelsku uczył. Było w nim coś takiego, że „niósł oświaty kaganek”. To był czas, kiedy miał taką potrzebę i to zapewne skłoniło go do aktywności zetempowskiej, zresztą krótkotrwałej, bo przecież wiemy, że jako bystry chłopak bardzo szybko rozpoznał ten sztafaż i przerzucił się w odwrotną stronę. W dojrzałym wieku też miał inklinację w kierunku nauczania, prowadził zajęcia ze studentami w Collegium Civitas o pisaniu, z tego co wiem, uczestnicy tych zajęć byli bardzo zadowoleni, a jedna z jego uczennic, Irena Makarewicz, zasiada dziś w jury Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego.

Jednak Marek Nowakowski studiów prawniczych nie wykorzystał zawodowo, ale, czy to się Markowi przydało jako pisarzowi, czy jako człowiekowi, czy ta edukacja była tylko epizodem w życiu?

Marek prawem się nie interesował. Interesowali go ludzie, którzy tam byli, szczególnie przedwojenni profesorowie, ich dorobek, losy. Jeszcze na uniwersytecie było wtedy sporo przedwojennej kadry, na przykład papirusolog prof. Rafał Taubenschlag. Osobowością niewątpliwie wybitną był profesor historii Karol Koranyi, lwowianin, a wtedy już legenda, dość kapryśny człowiek. Studenci bardzo się go bali, bo miał różne zagrywki, zdawało się u niego powszechną historię państwa i prawa. Kiedy podchodziłam do egzaminu akurat wyskoczył mi jęczmień na powiece, na egzaminie profesor bardzo mi współczuł, mówił: „pani pewnie nie mogła się wiele nauczyć”. Dostałam czwórkę.

Lubiłaś studia i swój zawód, prawda? „Bodajże w 1962 roku Czarnowłosa użyła skala wyzwolenie z terminu aplikanckiego”, napisał Marek Nowakowski w autobiografii...

Zostałam adwokatem. Miałam szczęśliwy układ studiów i aplikacji: skończyłam czteroletnie studia, a potem miałam trzy lata aplikacji, czyli po siedmiu latach zostałam adwokatem. Wtedy byłam najmłodsza w palestrze. Następne roczniki miały już gorzej, dlatego że studia się wydłużyły do pięciu lat, a dwuletnia aplikacja adwokacka musiała być poprzedzona dwuletnią aplikacją sądową, czyli wszystko trwało lat dziewięć. Ja wszystko zrobiłam w siedem.

Pisarz wspomina chyba, że pomagałaś mu wybrnąć z niewesołych przygód ze służbą wojskową...

Marek dostawał wezwania z Rejonowej Komisji Uzupelnień, ale się nie stawiał. Przez wiele miesięcy nie wzywano go, choć był już po studiach, żył w niepewności. Widocznie panował tam bałagan. Wreszcie, kiedy staraliśmy się o mieszkanie, musiał się stawić, żeby uzyskać książeczkę wojskową. Bez tego dokumentu przydział był niemożliwy. Komisja postanowiła, że ze względu na wiek do czynnej służby się nie nadaje, ale za notoryczne uchylanie się od zasadniczej służby wojskowej musiał stawić się na kolegium do spraw wykroczeń, do czego go przygotowywałam. Miał być cichy i skromny, odgrywać zagubionego poetę. Udało się. Przeniesiono go do rezerwy, cieszyliśmy się, bo służba wojskowa budziła wtedy grozę.

Zostajesz adwokatem, a Marek utrzymuje się wyłącznie z pisania. Jednocześnie z kart jego autobiografii wylania się wspaniały świat ówczesnej cyganerii, kolorowych ptaków w PRL-u... Brycht, Iredyński, Stachura, Śliwonik... Jak się w tym odnajdowałaś, zwłaszcza na początku lat 60.?

Musiałam wykazać dużo siły woli, żeby skończyć aplikację, bo jednak Marek reprezentował tendencje odciągające... Uczestniczyłam przecież w różnych spotkaniach, towarzyskich i innych, różnych spędach, że tak to nazwę. Musiałam się przestawić, było to dla mnie, ten literacki świat, zaskakująco inne i nowe niż to do czego byłam przyzwyczajona i przygotowywana. To wszystko wymagało pewnego przystosowania, ja zresztą bardzo szybko dałam się wciągnąć w ten wir życia, ale godziłam jedno z drugim i zdałam egzamin adwokacki bez opóźnień. Zaczęłam pracować i wykonywałam mój zawód bez przerwy, od 1962 roku...

Z tym wiąże się twoje zaangażowanie polityczne w późniejszych latach. Zaczęło się chyba w 1976 roku po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie...

Udzielałam porad prawnych, bo po czerwcowych wydarzeniach w Ursusie ktoś skierował do mnie dwóch robotników, chyba któryś z kolegów, może Staś Szczuka, bo on miał innych pod opieką. Pamiętam dość wczesny ranek, pukanie do drzwi, telefonu jeszcze wtedy nie mieliśmy, byłam tym zaskoczona, bo nikt mnie nie uprzedził. Ale oczywiście ich przyjąłam. Prowadziłam wtedy bardzo dużo spraw cywilnych, karne z urzędu, choć za nimi nie przepadałam. Może wtedy zaczęli się mną interesować, mówię o SB, ale wydaje mi się, że głównie interesowali

się Markiem. Miałam różne kontakty, choćby przez wspólnych znajomych związanych z kręgiem tak zwanej opozycji. Kontakty zacieśniły się, kiedy powstał drugi obieg pod koniec lat 70., wtedy już miałam samochód i pamiętam, jak zawoziłam bibułę gdzieś pod Warszawę. A innym razem wiozłam samego Jacka i bardzo mu zależało, żeby wtedy „zgubić ogon”, bo oni śledzili go w sposób jawny.

Jak wspominasz Grażynę Kuroń, bo na pewno znaliście się...

Poznałam Gajkę, była miłą osobą, bardzo serdeczną, uśmiechniętą... Pamiętam, jak spotkałam ją przed więzieniem na Białoleścu. Szła na widzenie z Jackiem, a ja wtedy na adwokackie widzenie do Adama Michnika...

„Kryptonim »Nowy 2« podaje dokładny przebieg rozmowy mojej żony Joli z Jackiem Kuroń i Zbigniewem Romaszewskim. Szło o pomoc prawną dla represjonowanych robotników w Ursusie i Radomiu po 1976 roku” – tak napisał Marek Nowakowski w książce „Kryptonim „Nowy”. Tajemnice mojej esbeckiej teczki”. Dodajmy, że »Nowy 2« to podsłuch domowy, umieszczony w ścianie waszej kuchni...

Po tym rzeczywiście kontakty się nawiązały, powstała linia pomocowa, bo to był i Ursus, i Radom, ale w sensie procesowym zaangażowałam się dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego. Wtedy zostałam oficjalnie pełnomocnikiem Adama Michnika, jeszcze kiedy był internowany, a potem aresztowany.

Ale samego Michnika znałaś chyba wcześniej. Z donosów wynika, że poznaliście się po 1969 roku... Jak było naprawdę?

Być może w połowie lat 70. nawiązały się jakieś kontakty, nawet na pewno, bo bywaliśmy czasami na spotkaniach towarzyskich u Kurońców na Żoliborzu. Było tam zawsze mnóstwo ludzi. W połowie lat 70. zaczął nas odwiedzać Michnik, wtedy zaczął krążyć po domach różnych pisarzy i kojarzył środowisko. Od jednego do drugiego, to była funkcja w pewien sposób cementująca środowisko opozycyjne. Dopatruję się w tym jego pozytywnej roli w tamtym czasie. Wzbudzało to zaufanie, nie było wtedy we mnie żadnych niepokojów czy obaw związanych z jego osobą.

Musieliście się bardzo lubić, a nawet przyjaźnić. Marek dedykował mu swoje teksty, a ty byłaś obrońcą Michnika...

Obrońcą to dopiero od 1982 roku. Nie nazwałabym tego lubieniem. Czy to była przyjaźń? To chyba za dużo powiedziane, on wtedy bywał w wielu domach, u Brandysów, u Woroszyłskich, mogłabym wymieniać dalej...Scała środowisko, które potem nazwano opozycją. Kiedy w 1976 roku powstał KOR, Michnika nie było w Polsce, pojechał do Włoch na zaproszenie włoskich socjalistów, wrócił w maju 1977, kiedy KOR już istniał. Pamiętam nawet, że byliśmy na lotnisku, żeby go witać. Zresztą w większej grupie osób... Kiedy wprowadzono stan wojenny Michnik



Rok 1984, tzw. proces jedenastu, jeden z najgłośniejszych procesów politycznych PRL-u. Jolanta Zabarnik-Nowakowska, obrońca Adama Michnika

został internowany, potem to przeszło w aresztowanie i został przeniesiony z Białołęki do aresztu na Rakowiecką. Tam przesiedział do lata 1984, kiedy była amnestia. Wtedy broniłam go razem z Tadeuszem de Virionem w 1984 roku, w tak zwanym procesie jedenastu przeciw członkom KSS KOR. Proces zanim się zaczął, to od razu się skończył, bo pan sędzia Monarcha, stwierdził, że jest urządzenie przekazujące na zewnątrz treść tego, co dzieje się na sali sądowej. W związku z czym zarządził przerwę i proces już nigdy się więcej nie toczył. W ten sposób władza chciała uniknąć kompromitacji, zwłaszcza że proces był szeroko komentowany za granicą, trwały w związku z nim protesty ludzi kultury. Tamtego dnia spotkały nas przykrości, wszyscy zostali wypędzeni z sali, były rewizje osobiste, nawet nie wiem, czy w końcu ustalono, czy ktoś miał nadajnik czy nie.

Brałaś udział także w procesie gdańskim z czerwca 1985 roku, w którym oskarżono i skazano na kary więzienia Michnika, Lisa i Frasyniuka...

Jeździłam wtedy do Gdańska, do sądu i więzienia. Zresztą jeździłam do wielu więzień, dobrze pamiętam Barczewo, w którym siedział Michnik. Wyszedł w 1986 roku na mocy kolejnej amnestii.

Wtedy też aresztowano Marka Nowakowskiego.

Sporo wcześniej, w marcu 1984. Chodziłam więc na Rakowiecką jako osoba prywatna, razem z żonami i matkami aresztowanych, na widzenia do niego, czyli

poza moim normalnym adwokackim wejściem do więzienia. Było poruszenie, bo strażnicy znali mnie po tylu latach przychodzenia... Często bywałam u Marka i stałam w długich kolejkach, żeby uzyskać zezwolenie na doręczenie paczki. Byłam też rozpoznawana przez kobiety stojące w tej kolejce. Mam sporo jego listów z więzienia...

Pamiętasz swoje emocje związane z aresztowaniem Marka?

Oczywiście. To było już trzecie „wejście smoka”. Marek był chory, poważnie przeziębiony, leżał w łóżku. Weszło chyba siedmiu facetów, a nasze mieszkanie to 35 metrów. Marek opisał to w *Kryptonim „Nowy”*... Nękanie i prześladowanie trwało zresztą przedtem. Bo to nie tylko aresztowanie. U nas były co najmniej trzy rewizje, ale potężne. Zabierali różne rzeczy. Do tej pory mam książki z napisanym na okładce numerem, bo spisywali to, co zabierali, a na każdej pisali numer ze spisu. *Eseje dla Kassandry* Hostowca na przykład mam z numerkiem 42... Poza tym pamiętam, jak przynieśli pięć książek Wasiutyńskiego, rozłożyli na tapczanie i sfotografowali, że to niby u nas znalezione, dystrybucja... A poza tym przewracanie, bebeszenie rzeczy z szafek... Jeden z ubeków, przedstawiał się jako porucznik Zalewski, choć to na pewno był pseudonim, rozkręcił mi gramofon, bo uważał chyba, że jest u nas stacja nadawcza. Poza tym jeździli do naszego domku na wsi i – co jest ciekawe – zabrali radio, więc znowu kombinowali, że mamy tam jakiś nadajnik. Przesłuchiwali też okolicznych gospodarzy, a myśmy zawsze mieli z nimi dobre kontakty. Punktem zaczepienia w przesłuchaniu były opowiadania Marka, bo łatwo było esbekom dojść, o kogo chodzi. Okoliczna ludność to byli przesiedleńcy po akcji „Wisła”, a Marek bardzo ten temat zawsze interesował, pisał na ten temat, opisał na przykład losy sąsiada Konstantego, a ubecy, którzy przyjechali penetrować teren, coś czytali i dowiedzieli się o tym. Na przesłuchaniach mocno go wtedy przeczołgali.

Podczas którejś waszej nieobecności zamontowano wam podsłuch w ścianie. Czy byliście świadomi, że jesteście podsłuchiwani?

To, że jesteśmy obserwowani było wiadomo od dawna, wiedzieliśmy też, że telefon jest na podsłuchu, ale o mikrofonie w ścianie kuchennej nikt nie pomyślał. To wyszło dopiero wtedy, kiedy Marek przeczytał swoją teczkę w IPN-ie.

Czy wtedy ukrywaliście rękopisy, maszynopisy?

– Marek pisał i nie mógł przestać pisać. A nigdy nie było wiadomo, kiedy wpadną na rewizję i co zabiorą. Ja na przykład nie robiłam wtedy żadnych notatek, czego teraz bardzo żałuję, bo gdybym robiła je na bieżąco, to wszystko bym mogła sobie przypominać.

A sama nie miałaś pokusy, żeby pisać?

Nie, nigdy. Napisałam tyle pism procesowych, tyle odwołań, tyle apelacji, że już miałam dość tego pisania. A poza tym całe lata przepisywałam rękopisy Marka na maszynie, a też mi dyktował. On pisał tylko ręcznie, od początku do końca. Ostatnio trafiłam na niedokończoną powieść *Trofim Panamski*, też pisaną ręcznie. A kiedy pojawiły się komputery, jeszcze pamiętam, że też przepisywałam krótsze formy, ale później już nie, bo na klawiaturze nie byłam już tak biegła jak na maszynie. Potem Marek chodził do redakcji z rękopisami, ale zawsze starannie przepisany z brudnopisu.

Kiedy Twoje relacje z Adamem Michnikiem zmieniły się?

To długa historia i wielka zadra w moim życiu, dlatego, że dużo czasu i wysiłku poświęciłam osobie, która nie była tego warta. Tak to oceniam *ex-post*. To po prostu deprymujące uczucie, że kawał życia poświęciłeś na coś, co w ogóle nie było tego warte. To, kim się Adam okazał i to dosyć wcześnie, zaraz po transformacji, jak następowała u niego metamorfoza, przemiana, to wszystko w sposób uderzający było widoczne dla wszystkich. Za komuny była we mnie chęć przeciwstawienia się, zaangażowania... Na początku lat 90. ubiegłego wieku Adam był posłem na sejm I kadencji i miał słynne wystąpienie na temat majątku PZPR, bo padła propozycja, żeby go przejąć. Poseł Beszta-Zborowski z Łodzi wystąpił z takim wnioskiem, a ten wstał, zabrał głos i powiedział, że nie będzie popierał sięgania ręką do cudzej kieszeni. To było bardzo szokujące, cała prawa strona sali zamarła, a lewa zaczęła bić mu brawo i wtedy było wyraźnie widać polaryzację w sejmie. Wieczorem tego dnia zadzwoniłam do niego i akurat odebrał telefon, powiedziałam: „Wiesz Adam, dziwię się, że byłam twoim obrońcą”. Po drugiej stronie cisza, zaniemówił. A po chwili, kiedy doszedł do siebie, powiedział: „A ja się dziwię, że ty byłaś moim obrońcą”. I położył słuchawkę. Na tym skończyła się nasza znajomość. Opowiedziałam oczywiście o całym zajściu Markowi, który pozostał wobec mnie lojalny, zresztą sam miał swoje obserwacje i przemyślenia.

Wracając do tematyki waszych miejsc, chyba ważny jest też dom nad jeziorem na Mazurach...

Marek był zresztą inicjatorem kupna tego domku. Podjął nawet aktywność, która zupełnie do niego nie pasowała, bo kiedy miało dojść do kupna, akurat złamałam nogę, to był maj 1980 roku, leżałam unieruchomiona w gipsie. I Marek załatwiał wszelkie formalności, jeździł do notariusza z moim pełnomocnictwem.

Podobało mu się to miejsce?

Bardzo! Opowiadał, że będzie siedział nad jeziorem, że będzie pisał, ale nigdy dłużej niż dwa tygodnie tam nie wytrzymał i z powrotem pędził do Warszawy. Poza tym miewaliśmy tam gości. Przyjechał Zbyszek Herbert z Kasią w sierpniu 1985 roku, w drugiej połowie, pamiętam, że to był bardzo upalny dzień. Byłam wtedy

sama, Marka nie było, zajechał volkswagen Golf, który prowadziła oczywiście Kasia, na dachu umieszczony rower górski... Pobyłam z Herbertami dzień lub najwyżej dwa, wprowadziłam we wszystkie ważne sprawy związane z pobylem i oni tam zostali, byli pewnie ze dwa tygodnie.

Kto jeździł na tym rowerze?

Oczywiście Zbyszek! Wspominany serdecznie przez naszych sąsiadów, bo przecież był szalenie towarzyski i bezpośredni. To lwowska część jego osobowości. Nasza sąsiadka pani Kraśkowa wspominała potem „tego pana”, pytała, jak się czuje, co u niego słyhać. A Zbyszek chodził i poznawał ludzi, wakacje się Herbertom udały, byli zadowoleni.

Jeszcze jedno wspomnienie Marka Nowakowskiego z wakacji, w którym się pojawiaasz: „W Wojciechu odwiedziła nas nieoczekiwanie Agnieszka Osiecka. W ciasnej izbie spała w łóżku z Czarnowłosą”...

Żartowali potem, bo Agnieszka miała różne zainteresowania. Nad jeziora augustowskie jeździliśmy w latach 70., przed zakupem domku na Mazurach, bo potem jeździliśmy już tylko w jedno miejsce. Wszystkie nasze wyjazdy, których było sporo: do „Astorii” do Zakopanego i do Sopotu, wtedy się skończyły. Wojciech to wieś pod Augustowem, mieliśmy tam miłe miejsce u państwa Woronieckich. Byliśmy tam z Jarkiem Abramowem, Agnieszka przyjechała w odwiedziny, oni przez STS byli bardzo zzyci. Nie miała gdzie się zatrzymać i przenocować po prostu... Zналиśmy ją już wcześniej, zresztą my wtedy zналиśmy naprawdę mnóstwo ludzi. Agnieszka lubiła towarzystwo, lubiła się spotykać, miała też w sobie wielką chęć poznawania nowych ludzi...

Marka Nowakowskiego prześladowało też porównywanie z Hłaską, którym Osiecka była przecież zauroczona...

Bardzo długo się z tym zmagał. Przecież krytyka stworzyła nawet pojęcie „hłaskoid”, do którego przyporządkowano młodych, na przykład takie zauważone wtedy pisarki jak Magda Leja czy Monika Kotowska, byli też Patkowski czy Minkowski, ich wszystkich krytyka chciała wrzucić razem z Markiem do jednego worka „hłaskoidów”, więc nie był z tego zadowolony. Magda Leja po latach była zresztą zaangażowana w działalność podziemną, pomagała w CDN-ie Sławkowi Bieleckiemu.

Poznałaś osobiście Hłaskę?

Ja nie, Marek tak. Hłasko recenzował jego debiutancki tom opowiadań, spotkali się, ale nie była to zażyła znajomość. Gdybym miała opisywać tych wszystkich ludzi, których znałam to zajęłoby nam to wiele godzin.



Marek Nowakowski mógł pisać wszędzie, nawet na rozkładanym stoliku...

Rozmawiamy w waszym mieszkaniu na Śniadeckich. Czy Marek pisał tylko w jednym miejscu?

Zamieszkanie nasze podzieliłabym na dwie epoki – ulica Długa do końca 1988 roku i Śniadeckich od 1989 roku do śmierci Marka. Od 1958 roku przeżyliśmy razem szmat czasu, bo 55 lat, z małą, dziesięciomiesięczną przerwą w 1990 roku.

Co to za przerwa?

Była spowodowana romansem Marka zwińczonym urodzinami dziecka. Okazało się, że nie dał rady, pomimo iż spełniło się marzenie jego ojca o potomstwie. Więc na jesieni 1990 roku Marek wrócił, a ja go przyjął. Nie byliśmy już młodzi i przypomniało mi się dawne powiedzenie Marka: „przejdą złości, namiętności i połamię tobie kości”. Wracając do waszego pytania, Marek mógł pisać wszędzie: i w domu, nawet w kuchni, i w domku nad jeziorem, i tam nawet na rozkładanym stoliku na trawie.

Nie miał przestojów? Kryzysów twórczych?

Czasem mu nie szło...

I co wtedy robił?

Jak to co? Nie wiesz? Dziecinne pytanie... (śmiech). Było kilka takich opowiadań, nad którymi siedział naprawdę długo. Nad *Pracusiami* ze dwa lata... Nie mógł tego pokonać, materia stawiała mu wielki opór. Sporo siedział przy *Jednym dniu w Europie*, jeszcze na Długiej. Mogę powiedzieć, że wszystkie najważniejsze opowiadania były napisane tam, w mieszkaniu na Długiej. Także *Raport o stanie wojennym*, a *Karnawał i post* pisał częściowo w więzieniu.

Można powiedzieć, że postacie, które znaliście, to swoista kronika PRL-u... Na przykład Jerzy Andrzejewski, ale też pisarze, o których już dziś w ogóle się nie mówi, choć pozostawili po sobie przejmującą twórczość. Myślę tu o Leszku Płażewskim, dziś pisarzu zapomnianym.

Jerzego Andrzejewskiego znaliśmy dobrze i jego żonę Marię. Odwiedzaliśmy się. A także córkę Agnieszkę, bardzo do niego podobna, i syna Marcina. Znajomość z Leszkiem trwała całe lata, to była znajomość włoskowska, bo Leszek Płażewski też stamtąd pochodził i mieszkał tam z babcią. Bywały okresy, kiedy odwiedzał nas codziennie. Zawsze przychodził z „Expressem Wieczornym” schowanym w wewnętrznej kieszeni marynarki, był złożony na szesnaście części, czytał tę gazetę ze trzy albo i cztery razy dziennie. Pod wieczór znał już ją chyba na pamięć, to było niesamowite! Robił to całkiem na poważnie. Kiedyś opowiadał, jak wszedł do księgarni i pyta się, czy jest ktoś za drzwiami? Sprzedawczyni się przestraszyła, a Leszkowi chodziło o jego debiut książkowy *Ktoś za drzwiami* z 1964 roku. Miał zresztą duże poczucie humoru, był pogodnym człowiekiem, do siebie też miał dystans. Miał mnóstwo przygód, choć życie osobiste nie ułożyło mu się dobrze. Zaczynał od boksu, a kiedy sobie podpił, lubił prezentować ciosy i uniki. Napisał kilka scenariuszy filmowych, według jego opowiadania i scenariusza powstał film *Niedziela Barabasa* w reżyserii Janusza Kondratiuka. Swego czasu był u nas bardzo chwalony Paul Auster, autor między innymi *Trylogii nowojorskiej*. Od razu dostrzegłam podobieństwa z prozami Leszka: ten sam szereg obserwacji w skali mikro, z których budowana jest następnie fabuła.

„W kolejnym donosie napisano wiele o Jolancie Zabarnik-Nowakowskiej spokrewnionej z literatem Julianem Strykowskim, co jest nieprawdą, tylko serdecznie się przyjaźniliśmy z nim” – pisał Marek Nowakowski.

Potwierdzam, że nie jestem spokrewniona z Julianem Strykowskim, ta uwaga wskazuje na dużą powierzchowność i dowolność różnych ubeckich obserwacji. Z Julkiem Strykowskim rzeczywiście mieliśmy bardzo częste kontakty, nawet nie pamiętam, jak się poznaliśmy, ale znaliśmy się długo, był długoletnim redaktorem w dziale prozy „Twórczości”. Julek Ignął do osób młodszych od siebie, znajomość z nami bardzo szybko zmieniła się we wzajemną życzliwość, a potem przyjaźń. Bardzo często do nas przychodził, myśmy też wpadali do niego, mieszkał jeszcze w narożnym budynku na placu Konstytucji, gdzie przez lata mieścił się „Hortex”.

Później przeprowadził się w aleję Wyzwolenia i tam często go odwiedzaliśmy, mówiło się „na latawcu”. Okna wychodziły na aleje Ujazdowskie. Julek był małutki, może niższy ode mnie. Prowadziliśmy wiele rozmów na różne tematy, bardzo lubił żartować i miał specyficzne poczucie humoru, trochę szmoncesowe, ale on sam te szmoncesy tworzył, do tego dodawał specyficzną intonację. Miał też szereg ulubionych powiedzeń. Na przykład pytałam: „Julku, a ile ty masz lat?”, odpowiadał „Tyle co wszyscy”. A był już dosyć wiekowy. Bardzo ceniłam jego książki, czytałam wszystkie. Bardzo podobał mi się *Sen Azrila*, oczywiście *Głosy w ciemności*. *Austeria* również, nawet film Kawalerowicza całkiem nieźle zrobiony... Zakończenie wstrząsające, taniec chasydów zakończony masakrą. Julek był bardzo wyczulony na sprawy erotyczne, w książce jest duże napięcie między Ukrainką Jewdohą a Tewje, karczarzem, świetnie opisane. Po 1956 roku, kiedy już przestał kochać czerwony kolor, często mawiał: „Ależ ja w to wierzyłem, ja w to wierzyłem, tylko oszukali mnie!”. Te dziecinne tłumaczenia wypowiadał starszy człowiek, więc trudno było się nie uśmiechnąć. W ogóle spotkania z nim zawsze były pełne ciepła i humoru.

Jak przyjęłaś „Wielki strach”?

Była z tą książką cała historia. Pamiętam, że Julek dał nam ją do czytania w maszynopisie. Ja przeczytałam dosyć starannie i wyraziłam swoją opinię, bo o nią dopytywał, a był zawsze bardzo zainteresowany opiniami, więc powiedziałam tak: „Wiesz Julku, wydaje mi się, że nie do końca jesteś szczery, bo trochę za mało napisałeś o tym i o tym...”. Obraził się wtedy na mnie, powiedział „Nie spodziewałem się tego po tobie!”. Starłam się tłumaczyć, że skoro chciał poznać moje zdanie, to powiedziałam, co myślę, a książka jest oczywiście bardzo ciekawa, ale niepełna, jakby niedociągnięta do końca. Po paru dniach Julek dzwoni do mnie i mówi: „Bardzo cię przepraszam, widocznie musiałaś przeczytać wszystko dokładnie, bo wiesz, ja tę książkę dałem tak samo w maszynopisie Julii Hartwig i Arturowi Międzyrzeckiemu, a oni byli zachwyceni. Powiedzieli, że to wspaniałe, a ja teraz to przejrzałem i zobaczyłem, że tam brakuje dwudziestu stron”. Czyli, że czytali pobieżnie... I ja tym sposobem ponownie zyskałam jego przyjaźń. Wydał *Wielki strach* w drugim obiegu, a potem już zupełnie zajął się inną prozą. Marek go bardzo cenił, Julek dawał się lubić. Potem nastąpił rozdzwiek od okresu, kiedy zerwaliśmy znajomość z Adamem, a on wielbił Adama, więc na tym tle doszło do animozji. Marek opisał to w *Nekropolis*, ale pod koniec życia jeździliśmy do niego, kiedy przebywał już w Konstancinie, odwiedziliśmy go parę razy. Był chyba 1995 rok, więc Julek, rocznik 1905, był już mocno wiekowy.

Jest takie świetne zdjęcie z 1987 roku – dwóch pisarzy na spotkaniu z Janem Pawłem II w kościele Św. Krzyża, ściskają dłonie papieża, to Wiktor Woroszyński i Julian Strykowski... A Wojtyła widocznie wzruszony.

Mogę dodać, że Julek utrzymywał bardzo bliskie kontakty z ojcem Jackiem Salimem, prowadził z nim teologiczne rozmowy, bo był w tym bardzo wprawny i dużo bardzo wiedział. Nawet mówiło się, że ojciec Salij chce go nawrócić... W teologii był bardzo biegły, bardzo się nią interesował, ale z nami o tym nie mówił.

Był też w waszym życiu Wilhelm Mach, ważna postać ówczesnego życia literackiego.

Z Wilkiem Machem byliśmy w wielkiej przyjaźni do końca jego życia. Dziś pisarz absolutnie zapomniany. Dwie powieści *Jaworowy dom* i *Życie duże i małe* uważam za bardzo udane, jeszcze *Agnieszka córka Kolumba*. Mówiło się, że to było już takie marcowe...Przewiewało coś z tamtej atmosfery. Opiekował się młodymi pisarzami w ZLP, patronował debiutowi Marka, zaakceptował do druku *Kwadratowego*. Marek od razu mnie z nim poznał, między nami była duża różnica wieku wtedy – dwadzieścia lat. Wilek był z 1917 roku, miał niesamowite oczy, przepiękne jasnoniebieskie i bardzo intensywne. Było w nich jakieś zadziwienie światem, coś takiego. Rysy twarzy odrobinę azjatyckie. O jego homoseksualizmie wiedzieliśmy, niemniej kontakty były bez żadnych tego typu akcentów, mnie traktował bardzo życzliwie jako osobę, która towarzyszy Markowi, poza tym nie krył się ze swymi upodobaniami, zapoznał nas nawet ze swoim ostatnim przyjacielem, Bułgarem. Często przyjeżdżał do Marka do Włoch, mama robiła obiady, bardzo dobrze gotowała, więc Wilek bardzo chętnie przyjeżdżał, bo w gruncie rzeczy był samotnym człowiekiem. Mama miała nawet nadzieje, że wyda za niego swoją siostrę, wspomnianą ciocię Anielcię z Gdańska. Ale niestety nic z tego nie wyszło. Był często goszczony, a nawet po obiedzie ucinął sobie drzemkę na kozetce. Atmosfera była więc rodzinna. Miał specjalny sposób mówienia, bardzo wyrazisty. Mam zdjęcie z pogrzebu Wilka, jest na nim jego siostra Bronia, którą bardzo kochał, mieszkała chyba w Gorlicach. Pochodził z tamtych stron. Był bardzo lubiany i ceniony, także jako krytyk literacki, a na początku lat 60., kiedy miał czterdzieści kilka lat, prowadził bujne życie towarzyskie. Kiedyś sama widziałam, przyszliśmy do niego, ale posiedzenie trwało od jakiegoś czasu i na tapczanie zmożeni snem leżeli Cybulski z Teresą Tuszyńską, uderzyły mnie jej duże stopy.

Czyli można powiedzieć, że środowisko literackie przenikało się z innym, aktorskim...

A byli jeszcze artyści plastycy. Zналиśmy wielu. Marek specjalnie do środowiska literackiego nie lgnął, miał jakiś dystans, ochronną barierę, natomiast bardzo lubił spotykać się z różnymi malarzami, grafikami, plastykami. Na przykład Marek Obaerlander mieszkał na Okólniku 11a, z bramy, gdzie myśmy wynajmowali pokój w oficynie, miał pracownię po lewej stronie bramy na pierwszym piętrze, ale ja osobiście go nie znałam... Przyjaźniliśmy się natomiast z Edwardem Krasińskim, mieszkał bardzo blisko nas, na Długiej, w jednym z wieżowców przy dzisiejszej

alei Solidarności, nieopodal Arsenału, przed budynkiem Hipoteki. Edzio mieszkał razem z Henrykiem Stażewskim, mieli do swojej dyspozycji ogromny taras, to był wielki urok tego mieszkania, zresztą była to też pracownia.

Czy tam odkrył swą niebieską linię, którą potem zakreślał różne przestrzenie, i dzięki której stał się słynny?

Tego nie wiem, ale bardzo zabawnie potrafił o niej mówić. Stażewski długo żył, przygarnął Edzia do wspólnego mieszkania, kiedy ten rozszedł się z żoną, pewnie nie miał wtedy stałego kąta. Mieszkał tam, pracował, często wpadał też do nas na Długą. Dzwonił też do nas, pamiętam taki telefon, godzina powiedzmy dziewiąta rano: „Halo, tu Edzio!”, „Co tam dobrego słyszać?” odpowiadam. I słyszę: „A już jestem przy drugiej seteczce...”. Miał bardzo charakterystyczny sposób mówienia, bardzo dystyngowany, pochodził przecież z arystokratycznej rodziny. Wspaniały człowiek. I absolutna odwrotność Janka Lebensteina.

Największa zażyłość łączyła nasz Jerzym Jaworowski, grafikiem i jego żoną Hanką, lekarzem. Niestety przedwcześnie zmarł bo już w 1975 r.

Widzę też na twojej ścianie pracę Arika Madeyskiej...

Zawsze byłam wrażliwa na kolor, rozumiałam czysto abstrakcyjne obrazy Stażewskiego, działały na mnie, bo były ciekawe kolorystycznie. Mam tu jej obraz, portret siostry Aliny, zwanej Pelašką. Arikę poznałam jeszcze w Polsce przed jej emigracją do Paryża. Arika specjalnie nie utrzymywała kontaktów z „Kulturą”, może z pewnej ostrożności. Mniej więcej w tym samym czasie emigrował też Janek Lebenstein, a Arika wyjechała z małym dzieckiem, Honorcią, która dziś jest już babcią, ale mamy kontakt, korespondujemy...

Na grafikach Lebensteina widzę z kolei dedykacje dla was. Marek przyjaźnił się z nim, prawda?

Bardzo. Cenił rozmowy z nim, bo o wielu sprawach rozmawiali, mieli wiele wspólnych tematów. Janka poznałam, kiedy po raz pierwszy byłam w Paryżu, a Marek chyba poznał go rok wcześniej, też we Francji. Lebenstein pokazywał mi Paryż, był bardzo opiekuńczy, był wtedy związany z Hanką Paszkowską, której twarz widoczna jest na jego wielu obrazach, piękna kobieta. Towarzyski, chętny do pokazywania mi miasta, choć bardzo cicho mówił. Pamiętam jeszcze stare Hale w Paryżu, zaprosili mnie też do La Coupole na Montparnassie, więc czułam się jak z bliskimi ludźmi. Lebenstein przyjaźnił się z Zygmuntem Hertzem, z Herlingiem, odwiedzali się, byli bardzo życzliwi. Odwiedziłam też jego pracownię, obejrzałam wszystkie obrazy, zresztą to, co tu widać na ścianach, przywiozłam z Paryża.

Czy odwiedziłaś Giedroycia w Maissons-Lafitte?

Tak, ale później. W 1969 roku, zapamiętałam go, byłam tam ze dwa albo trzy razy. Pani Zofia była jeszcze młoda. Giedroyc specyficznie się zachowywał, był bardzo powściągliwy, coś bąkał pod nosem. Był w sumie bardzo miły. Pod koniec lat 60. Marek złożył u niego maszynopis swoich opowiadań o Marcu '68, ale nie zdecydował się na publikację. Wiedział, że w wypadku publikacji w „Kulturze” pod własnym nazwiskiem stanie się pisarzem politycznym, dostanie zakaz druku w Polsce i straci kontakt ze swymi czytelnikami. Po latach te teksty ukazały się pod tytułem *Syjonści do Syjamu!*. W „Kulturze” wydał szereg książek, ale w latach 80.: *Raport o stanie wojennym* razy dwa, bo to były dwie książki, *Notatki z codzienności*, *Karnawał i post*, *Dwa dni z Aniołem*, *Grisza, ja тебе скажу...* To był bardzo intensywny okres ich kontaktów. Była między nimi chemia, sporo jest krótkich liścików od pana Jerzego, Marek też do niego skrobał, bardzo go cenił. Ale równocześnie bardzo też cenił Herlinga, którego miałam tam również okazję poznać, bo akurat wtedy był. Także Zygmunta Hertza, serdeczny, ciepły, taki zwyczajny człowiek i bardzo opiekuńczy. To byli twardzi ludzie, zważywszy na to przez co przeszli, a czego w konsekwencji dokonali.

A jakimi kanałami przekazywano tam maszynopisy Marka?

Późniejsze teksty były przewożone pocztą dyplomatyczną.

Po roku 1989 Marek Nowakowski jest już drukowany, intensywnie pisze, ale jednocześnie wypowiada się na temat rzeczywistości III RP.. Czy ta cezura to dla was była jakaś zmiana, i w twórczości Marka, i w waszym funkcjonowaniu w środowisku literackim?

Marek z właściwą sobie zdolnością obserwacji widział szereg rzeczy, które potem dla wszystkich stały się oczywiste, ale dość wcześnie zauważył, że zmiany, których się spodziewaliśmy, nie idą we właściwą stronę. Dużo pisał, wychodził z domu i chłonał targowisko, w które zmieniała się Warszawa, rozkładane łóżeczka z towarem, widział, że z jednej strony było pobudzenie i ożywienie, a z drugiej nie było odpowiedniej reakcji na tamtą rzeczywistość ze strony rządzących. To było wokół nas, na Placu Konstytucji. Zresztą Marek dawał temu wyraz w wielu krótkich tekstach, drukował wtedy w licznych pismach. Rozwarstwienie po naszej stronie niewątpliwie pojawiło się, kiedy „Gazeta Wyborcza” zaczęła skręcać we właściwą sobie, dziś już otwarcie lewacką stronę, co nie dla wszystkich wtedy było oczywiste. Byliśmy raczej krytyczni w ocenach pierwszych solidarnościowych rządów, wyjątkiem rząd Jana Olszewskiego, którego zresztą bardzo dobrze znaliśmy, ceniliśmy jako człowieka, prawnika, a potem polityka, więc to była pewna nadzieja. Po obaleniu tego rządu, to wszystko, co się stało, cała ewolucja Wałęsy, wszystkie historie, które działy się przy okazji rządów Suchockiej... Widziałam, że to wszystko Marka rozsierdziło i złościło.

W pisaniu Marka Nowakowskiego daje się wtedy zauważyć mało entuzjastyczny opis rzeczywistości, na przykład w „Psich Głowach”, z drugiej strony nurt powrotów do przeszłości, powstają „Powidoki”. Czy Twoim zdaniem to jest jakaś nowa jakość w pisaniu Marka, czy to „nowy Marek”?

Dla mnie nową jakością były już teksty zebrane w tomie *Karnawał i post* z roku 1987, z których większość powstała w więzieniu, dla mnie była to jakaś nowa odsłona pisania Marka, bardziej eseistyczna, sięgająca w przeszłość. *Dwa dni z Aniołem* i *Grisza ja тебе skazu...* też były inne. Potem pisarstwo Marka staje się coraz bardziej skondensowane, no i powrócił do swojej biografii, pisał o miejscach, z których wyrósł, o ludziach, którzy wywarli na niego największy wpływ. O tym są *Powidoki* i *Nekropolis*. Ale zgadzam się, że pojawiło się coś nowego, to znacznie więcej publicystyki.

W tej ostatniej książce sięgnął też po Twoją przeszłość, bo w tekście „Pan Władzio” napisał o Władysławie Smólskim. Czy podpisałabyś się pod tym Marka portretem bliskiego Ci przecież człowieka?

Jak najbardziej! Myśmy z Markiem odwiedzali pana Władzia, mieszkał na Słupeckiej w przedwojennym mieszkaniu, kompletnie zagraconym, na początku mieszkał tam z matką i z ciotką, którymi się opiekował. Staruszki zajmowały jeden pokój, on mieszkał w drugim, większym, do którego zapraszał gości. Było tam wszystko: jego książki, rękopisy, bo miał ambicja literackie, pisał dramaty, między innymi sztukę o świętym Franciszku, stały różne przedmioty, meble... Był dobroduszy, zajmował się też chiromancją, dlatego bardzo lubił oglądać dłonie, przybliżał twarz do mej dłoni i zaczynał: – Droga Jolu... (śmiech). Przy dużym stole w jego pokoju siadywało czasem po kilkanaście osób, to był mebel samoistny, otoczony komódkami, szafeczkami, książkami w stertach i pamiętam, przychodził tam między innymi poeta Eugeniusz Żytomierski i Jerzy Kreczmar. Z największą radością wspominam te kontakty, bo one były dobre i naturalne. Władysław Smólski ma swoje drzewko w Instytucie Yad Vashem, byłam proszona, żeby napisać o tym krótki tekst. Jednak w naszych powojennych kontaktach do spraw okupacyjnych nie powracaliśmy.

Czy chciałabyś opowiedzieć o nich dzisiaj?

Nie.

Czy były jeszcze jakieś ważne postaci, które w życiu, czy może też w twórczości Marka Nowakowskiego, znalazły się dzięki Tobie?

Tak jak wcześniej wspomniałam, raczej przeze mnie poznał Jana Olszewskiego Martę Miklaszewską, bo z Janem byliśmy kolegami, adwokatami. Zacieśniły się bardziej kontakty już po śmierci Marka, bywałam u nich częściej a z Martą

grałyśmy w bridża. Poza tym słuchał moich opowieści, a czasami je wykorzystywał i przetwarzał. Jedną z takich postaci był prototyp prokuratora Anioła, który oczywiście tak się nie nazywał. Marek często „przejmował ludzi”, poznawał ich dzięki mnie lub komu innemu, a potem wciągał je na swoją orbitę i stawał się pierwszoplanowym znajomym. To dla niego charakterystyczne. Niezależnie od Marka na pewno między Januszem Szpotańskim a mną była więź szczególna, choć niewyartykułowana. Wiem, że Szpot mnie bardzo lubił i spotykaliśmy się czasem w trójkę, z Markiem często się ścierali, choć bardzo się lubili. Szpot wszystkim nadawał przydomki, ja zostałam Szopenem. Oboje lubiliśmy muzykę poważną, a Szpot był jej wybitnym znawcą, obdarowywał mnie nagraniami na taśmach. Często się widywaliśmy, kiedy dostał wreszcie mieszkanie, bywaliśmy u niego, wpieryw na Ursynowie, potem na Muranowie. To jednak co mnie najbardziej wzruszyło nastąpiło w 2001 roku, kiedy bardzo już chory Szpot leżał w szpitalu MSW na Wołoskiej i przez kogoś prosił, żebym przyszła do niego w odwiedzin. Byłam u niego na dwa dni przed śmiercią, bo ja mu się przyśniłam, dlatego chciał, żebym koniecznie go odwiedziła. Tak się stało. Byłam u niego, leżał w separacie, a siedziałam obok w milczeniu, nie miał już siły rozmawiać. Szpotański był postacią bardzo ważną najpierw dla opozycji w latach komuny, zwłaszcza po operze *Cisi i gęgacze* i swojej odsiadce, i w zasadzie aż do swej śmierci. Ale potem chyba już nie. Na pewno nie jest dziś tak pamiętany, jak na to zasługuje. Pewnie dlatego, że nie pozostał bezkrytyczny wobec tego, co działo się w Polsce po 1989 roku.

A jak się poznaliście?

Marek kiedyś przyprowadził go do mieszkania moich rodziców na Lwowską. Prosto z bazaru na Polnej, gdzie po nocnych eskapadach młodzieńcy zbierali się i buszowali wśród straganów. Do mnie było bliźniutko, dlatego pod nieobecność moich rodziców, przyszli obaj już koło północy. Szpot bardzo szybko po alkoholu tracił trzeźwość, miał słabą głowę, ale za to był bardzo pomysłowy. Dużo opowiadał, wymyślał, miał niesamowitą inwencję. W latach 90. też trzymaliśmy się razem, bo Szpot, podobnie jak my, krytycznie oceniał to, co się działo już od początku lat 90. w Polsce. A wracając do pytania o znajomych, to ich także można podzielić pomiędzy dwa nasze mieszkania, Długą i Śniadeckich, niektórzy odwiedzali nas w obu, jak Leszek Płazewski, Kazik Orłoś, Szpot czy Zyta Oryszyn, kochana Zyta..., Andrzej Zakrzewski i Krzysztof Wiktorczyk. Bardzo długa znajomość łączyła nas z Antonim Liberą, który przyszedł do nas na Długą bodajże w 1970, a może w 1969 roku. Znajomość ta przetrwała do dziś. Wtedy Antek był bardzo młodym człowiekiem, miał chyba nie więcej niż 20 lat i był ciekawy wszystkiego. Podobnie zażyłość z Antonim Krauzem łączyła Marka od lat „Współczesności”. Zrobił Antek świetne dwa filmy: *Meta* i *Prognoza pogody*. Muszę jednak powiedzieć, że już w mieszkaniu na Śniadeckich poznaliśmy kilka ważnych dla nas osób. Między innymi was, szanownych moich rozmówców, Macieja Urbanowskiego i Wojtka



Jolanta i Marek Nowakowscy

Chmielewskiego, pierwszego laureata Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego, również kolejnego laureata – Rafała Wojasińskiego. Bardzo ciekawym człowiekiem był poznany w połowie lat 90. Wojciech Albiński, autor wspaniałych opowiadań afrykańskich wydanych w tomie *Kalahari*. Za tę książkę otrzymał Nagrodę Literacką im. Józefa Mackiewicza w 2004 roku. Marek napisał wstęp o łączącej ich znajomości z dawnych, dziecięcych lat. Odnowili przyjaźń, Albiński i jego żona Wanda zaprosili nas do Afryki. Ta wyprawa to niezapomniane przeżycie do dzisiaj. Niezwykle ważną postacią w ostatnich latach poznaną był Krzysztof Zaleski. Porozumienie między nim a Markiem było ważne dla obu i zaowocowało twórczo przedstawieniami w Teatrze Współczesnym – *Wagon* i *To idzie młodość* w reżyserii Zaleskiego. Z kolei Krzysztof Kalukin realizował w latach 90. cykl telewizyjnych *Powidoków*, a Paweł Woldan był twórcą filmu *Powidok* poświęconego Markowi. Bardzo mi pomógł w tych ciężkich chwilach po śmierci Marka. Pamiętam 70. urodziny Marka. Duże spotkanie w 2005 roku, drugiego kwietnia. Przyszło wielu znajomych i właśnie w tym dniu zmarł papież Jan Paweł II.

Rozmawiamy w dniu przyznania Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego, którą w tym roku otrzymał Kazimierz Orłoś. To osoba, z waszego kręgu znajomych, którą często łączono z Markiem Nowakowskim...

W dawnych latach, kiedy Kazik wydrukował w „Twórczości” opowiadanie *Dziecko ojca i matki*, doskonale i bardzo poruszające, rozmawialiśmy o tym, Marek napisał recenzję i panowie się poznali. Było to na przełomie lat 50. i 60. Od razu nawiązała się dobra znajomość, a potem przyjaźń, która trwała bardzo długo, od początku uczestniczyli w pracach jury Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, brała udział także pani Halina Mackiewicz, córka pisarza. Punktem, który zdecydował o rozejściu się ich dróg po wielu, wielu latach było oburzenie i protest Kazika wobec obecności Stanisława Michalkiewicza w jury Nagrody. Wystąpienia publicystyczne Michalkiewicza rozsierdziły Orłosa, wystąpił z jury, co również określiło go politycznie. Zbliżył się wtedy do „Gazety Wyborczej”, z którą w latach 90. nie miał nic wspólnego, bo stanowczo opowiadał się od początku za dekomunizacją i lustracją.

Ale w PRL-u byliście blisko, co wynika choćby z autobiografii Orłosa „Dzieje człowieka piszącego”...

Mieliśmy bardzo bliskie kontakty z obojgiem, Marka z Kazikiem, moje z Teresą, żoną Orłosa, on wiele lat spędzał poza Warszawą, kiedy był radcą na budowach, pracował między innymi przy budowie zalewu na Solinie. Byłam u nich dwukrotnie, jeszcze zanim zalew był napełniony wodą. A pierwszy raz spędzaliśmy wakacje razem na naszej ukochanej Mierzei Wiślanej, w Piaskach, w 1961 roku, kiedy syn Orłosiów, Maciek, miał roczek. Pamiętam, że był upał i na plaży Teresa robiła namiot z mokrych prześcieradeł, żeby maleństwo miało cień. Sporo czasu minęło, prawda? Potem połączyła ich działalność opozycyjna, najpierw w „Zapisie”, a kiedy wybuchła „Solidarność”, byli wspólnie w komisji do spraw kontaktów ze związkami zawodowymi przy Związku Literatów Polskich. Chodziło o to, żeby mieć półoficjalną łączność z „Solidarnością”, więc to była ścisła, dobra znajomość.

Pochodzi z rodziny pisarzy...

Ze strony matki. Z wielkim szacunkiem zawsze wypowiadał się o wujach Józefie i Stanisławie, twórczość obu była mu bardzo bliska, zwłaszcza pisarstwo i mistrzostwo Józefa Mackiewicza, był też w dobrych stosunkach z córką Cata-Mackiewicza. Matka Kazika, pani Seweryna Orłoś z domu Mackiewicz, siostra Józefa i Stanisława, którą miałam zaszczyt znać, żyła 102 lata, była osobą, o której się pamięta, a syn bardzo się liczył z jej zdaniem. Marek bardzo cenił twórczość Orłosa, wielokrotnie rozmawiali o literaturze, czytali swoje książki, myślę, że bardzo cieszyłyby się z nagrody dla swojego wieloletniego przyjaciela. Bardzo ważnym wydarzeniem w życiu Marka było zaangażowanie we współtworzenie w 2002 roku Nagrody im. Józefa Mackiewicza i przewodniczenie Kapitulie Nagrody aż do 2013 roku. To były wspaniałeuroczystości i wspaniali nagrodzeni.

Jesteś pomysłodawczynią nagrody literackiej, która ma honorować przede wszystkim młodych twórców opowiadań...

Nagroda dla Kazika może być pewnym zaskoczeniem, ale w regulaminie nie ma nic o wieku. A tegoroczny laureat, rówieśnik Marka, to przede wszystkim twórca opowiadań właśnie, które pisał przez całe twórcze życie. Dwie grube księgi wspomnień [*Dzieje dwóch rodzin* i *Dzieje człowieka piszącego* – przyp. red.] są jednak wyjątkiem w jego dorobku. W tym roku nagroda wskazuje więc na więź pokoleniową i wartość literackiej spuścizny, z czego bardzo się cieszę.

Dziękujemy za rozmowę.

Luty–maj 2022 Warszawa,

Rozmawiali Maciej Urbanowski i Wojciech Chmielewski

Wojciech Chmielewski (ur. 1969 w Warszawie) – jest autorem tomów opowiadań *Biały bokser* (2006) wyróżnionego w VI edycji Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, *Brzytwa* (2008) nominowanego do Nagrody Mediów Publicznych Cogito, *Najlepsza dentystka w Londynie* (2014) oraz powieści *Kawa u Doroty* (2010) nominowanej do Nagrody Angelus w 2011 r. W 2017 r. został laureatem pierwszej edycji Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego przyznawanej dla autorów opowiadań. W 2018 r. otrzymał Nagrodę Literacką im. Cypriana Kamila Norwida za powieść *Belweder gryzie w rękę* (2017). Autor słuchowisk dla Teatru Polskiego Radia. Publikował m.in. w „Rzeczpospolitej”, „Odrze”, „Borussi”, „Wyspie”, „Dialogu”, „Arcanach”, „Nowych Książkach”, „Czterdzieści i Cztery”.